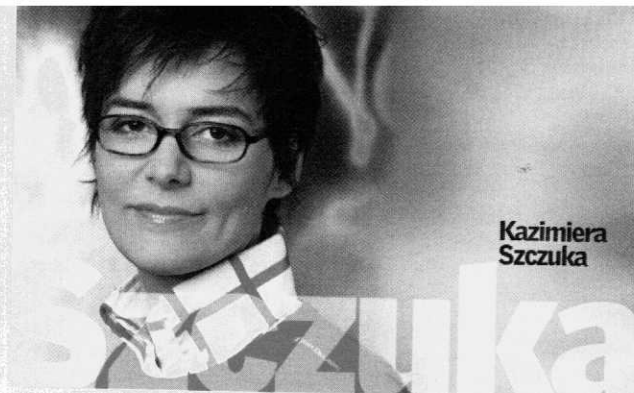


6 **AGENDA** KSIĄŻKI**HIT**

„**FARBA ZNACZY KREW**” powoli zyskuje sobie status książki kultowej. Nie wywołała wielkiej dyskusji nad naszym stosunkiem do zwierząt, ale krąży wśród wtajemniczonych jako wstrząsowa dawka pogłębionej wrażliwości. Kruczyński, niegdyś pracownik stoczni, spadkobierca rodzinnej mitologii polowania i sam zapalony myśliwy, dziś jest buddystą, ekologiem, wegetarianinem i obrońcą życia. Trudno się nie zawahać, używając tych słów, nieodmiennie kojarzących się ruchem pro-life, ale Kruczyński właśnie za obrońcę życia się uważa. Wszelkiego życia. Saren, lisów, zajęcy, dzików i jeleni. Kotów, psów, krów i koni także. Kto ma prawo decydować o tym, które życie jest święte od poczęcia, a które sprowadzane na świat po to tylko, żeby zostało - wyłącznie dla przyjemności - unicestwione przez człowieka? Ten człowiek, bohater rozważań autora i jego rozmówców - bo książka zawiera również rozmowy z psychologami, nauczycielami, łowczym i żonami myśliwych (!) - na ogół jest mężczyzną. Na ogół zabijanie bezbronnych zwierząt w jego odczuciu współgra z męskością właśnie. Dlatego największą satysfakcję przynosi myśliwemu wykastrowanie zabitego rogacza. Szokujące fakty, obrazy, statystyki i ciekawostki na temat polowania Kruczyński przedstawia po to, aby szczerze i po prostu uświadomić ludziom, że zabijanie to zabijanie. Mocna rzecz i prawdziwa. Momentami lekko nawiedzona, ale trudno się dziwić, skoro czytamy szczególnego rodzaju świadectwo nawrócenia.

Zenon Kruczyński „Farba znaczy krew”,
wyd. słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2008

**KIT**

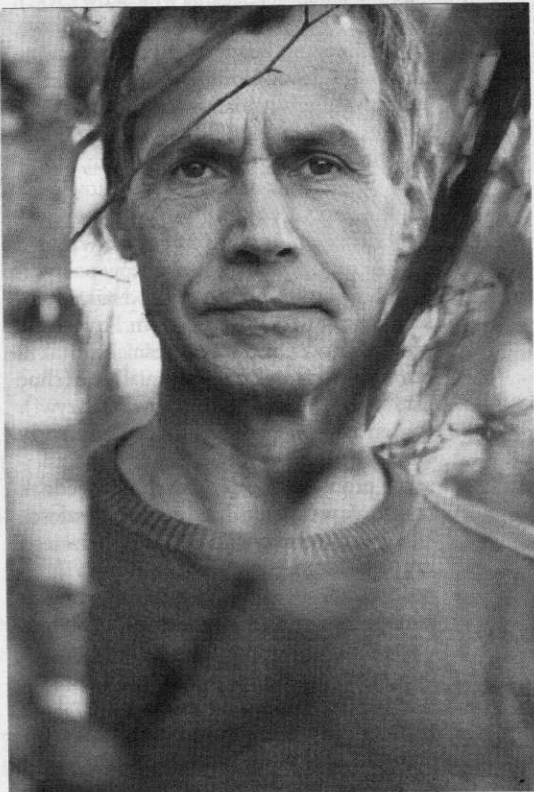
DZIWNA I NUDNA KSIĄŻECZKA o lekko wykołejonej inteligencji sudańskiej udającej się pod koniec lat 60. na emigrację wewnętrzną. Bardzo wewnętrzna, bo rzecz dzieje się przez cały czas na barce przycumowanej na brzegu Nilu i przez większość stron jedyna akcja to wchodzenie i wychodzenie gości. W roli samolotu do odlotu występuje haszysz. Owszem, ładnie stara się autor opisywać żarzące się węgielki, oleisty zapach, samotne halucynacje i rozmowy na haju. Ale starczy tego jedynie na jakiś szkic powieści, zarys postaci, może wprowadzenie w coś albo szkic bliżej nie wiadomo czego. Kilku mężczyzn i kilka kobiet tworzących haszyszowe kółko ma uosabiać potrzeby wolności, transgresji i wzgardy dla rzeczywistości, również tej polityczno-społecznej, ledwo ledwo widzialnej zza zasłony haszyszowego dymu. Głównie jednak sens spotkań i narkotykowych seansów sprowadza się do kontredansu męsko-damskiego i ustawiania, która pani będzie spała z którym panem. Pod pozorami swobody i szczerości - bohaterowie bez wahania określają samych siebie jako narkomanów i nihilistów - wszystko tu zdaje się jakieś mieszczańskie, przytłoczone, uwięzione i stereotypowe. Trudno ganić za to autora, taki zapewne chciał stworzyć tekst, pozostaje tylko pytanie, po co to uczynił.

Nadżib Mahfuz „Rozmowy na Nilu”, z arabskiego przełożył
Jacek Stępiński, wyd. Świat Książki, Warszawa 2008

Zabicie psa

Zenon Kruczyński, były myśliwy, autor książki „Farba znaczy krew”:

Moment olśnienia przyszedł, kiedy zabiłem psa goniącego sarnę. Widziałem lot kuli, jak wychodzi z lufy, przecina powietrze, przechodzi przez skórę, wylatuje z drugiej strony jego ciała. Całym sobą czułem konanie tego psa.



ANDRZEJ GEORGIEW

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Ile zabił Pan zwierząt jako myśliwy?

ZENON KRUCZYŃSKI: Około tysiąca. Jak na dwudziestoletni staż to suma spora, ale nie jakaś nadzwyczajna. Wychodzi 50 zwierząt rocznie.

Śnił się Panu czasami te zabite stworzenia?

Gdyby mi się śniły, nie byłbym teraz tu, gdzie jestem. Człowiek ma możliwość fundamentalnej przemiany, także odejścia od przeszłości. To, że kiedyś polowałem, tak jak i szereg innych bolesnych zdarzeń, nie wywołuje u mnie lęku. Ale też nie zapominam – wręcz przeciwnie.

W buddyzmie istnieje metaforyczny obraz: kwiat lotosu, którego korzeń zatopiony jest głęboko w mule, a łodygę wieńczy piękny kwiat wznoszący się ponad czterometrową toń wody. Żadna z istot ludzkich nie byłaby w stanie żyć bez tego „mule” – to cierpienie, które jest jedyną siłą mającą potencjał, by w ważny sposób zmieniać nasze życie.

Kiedyś ludzie chodzili na polowania, bo w ten sposób zdobywali pożywienie. Potem myślistwo stało się rozrywką zarezerwowaną dla władców i elit. Dzisiaj w polowaniu może wziąć udział każdy.

W czasie kadencji Sejmu w latach 2001–2005 co szósty poseł czy senator był myśliwym. Mówiło się wtedy, że tak naprawdę Polski Związek Łowiecki rządził krajem. W tej chwili poluje w Polsce ponad 100 tysięcy osób – na ogół są to mężczyźni, kobiety stanowią niepojęty dla mnie margines.

Dlaczego niepojęty?

Trudno zrozumieć kobietę idącą na polowanie w styczniu i własnymi rękami patroszącą zastrzeloną przez siebie łanię, która wtedy na ogół nosi ciężę. I ta kobieta nie reaguje na to, że wraz z samicą zabiła w pełni rozwinięty, kilkukilogramowy płód o charakterystycznych białych raciczkach. Gdy rozetnie się brzuch takiej łani, to wycieka z niego krew zmieszana z laktacyjnym mlekiem.

Mężczyźni strzelającego do zwierząt łatwiej jest usprawiedliwić?

To jest szerszy problem dotyczący piątego przykazania, które stało się wyschniętą na wiór atrapą – nie chroni życia żadnej istoty, nie tylko ludzkiej. Jeżeli nie zabijamy sami, to swoją postawą przyzwalamy na to całe zabijanie. Czy nie jest zastanawiające, że bez żadnych skrępowań państwo wysyła na wojnę swoją armię, aby wyłudła armię innego państwa, a to wszystko z błogosławieństwem biskupa polowego? Kiedyś oglądałem amerykański dokument z wojny irackiej. Kręcono go przez otwarte drzwi bojowego helikoptera – było widać pobojuwisko czołgów. W tle strzały i podniecone głosy żołnierzy: „dobij go, jeszcze się rusza”. Ten film pokazał „humanitarne” oblicze wojny, w której w ogóle nie bierze się jeńców. Rannego trzeba dobić, bo jak się tego nie zrobi, to on sam zdąży jeszcze kogoś zabić. Nie chcemy o takich rzeczach wiedzieć.

Co to ma wspólnego z myślistwem?

To, że w sprawie polowań też chowamy głowę w piasek. Wśród nas jest sto tysięcy ludzi, którzy zdecydowali się w swoim życiu na to, że zabijanie innych istot będzie ich podstawową rozrywką. Oni mają ręce unurzane we krwi do łokci. Dosłownie: gdy patroszę jelenia, to mam ręce po łokcie we krwi. Ludzie uwiedzeni są przez upór, myśliwskie *public relations* kierowane z myśliwskiego środowiska na zewnątrz.

Rzeczywiście nie wiemy, co robią myśliwi. Utrzymują, że są sprzymierzeńcami zwierząt. Zabijają tylko te chore, słabe i niezdolne do leśnego życia.

Ciekawe, skąd to wiedzą, które są chore, słabe i niezdolne do leśnego życia? Jeżeli tak jest, to powinno się natychmiast zakazać wprowadzania do obrotu handlowego całej dzicyzny – to jest chore mięso z chorych zwierząt! Myśliwy weźmie na celownik każde zwierzę, na które ma odstrzał, czyli zezwolenie na papierze z pieczętką. Po to pojechał do lasu. Nigdy na druku nie ma napisu: „odstrzał wydany na zwierzę niezdolne do leśnego życia”. Strzela w serce lub za ucho. Czasem trafia

nie tam, gdzie mierzył, i kula łamie nogę, rozwala wątrobę, nerki, żuchwę, albo jeszcze inaczej. Wtedy musi zwierzę dobić z najbliższej odległości: w nasadę karku. Widać wstrząs ciała po ostatnim dla tego zwierzęcia strzale. Później patroszy – jeśli jest to byk, nacina mosznę i patroszy jądra. Wyciąga nasieniowody. Wypreparowuje penisa zakorzenionego głęboko i między udami. Wycina dookoła odbytu. Rozcina skórę na szyi wzdłuż tchawicy i uwalnia ją. Rozcina brzuch, uważając, żeby jelita zostały w całości. Wkłada rękę głębiej – wycina przeponę i wygarnia na ziemię wszystkie wnętrzności. Odcina od nich wątrobę, rozcina żołądek. Wcisną rękę głęboko w ciało od strony brzucha, chwytając za tchawicę oraz serce i silnym szarpnięciem wyciąga na zewnątrz. Dalej musi się jeszcze uporać z porożem oraz głową.

Myśliwy jest w tym momencie najsilniejszym leśnym drapieżnikiem.

Drapieżniki ustanowione przez dzieło stworzenia własnymi rękami wytępił. W sposób drastyczny zaburzył ekosystem, w którym istnieje miejsce na wysublimowaną rolę drapieżnictwa. Wilk nigdy nie zabija dla przyjemności. Dla wilka dogonić i zabić zwierzę jest ciężkim wysiłkiem. Poluje czasami całą noc, przebiegnie sto kilometrów i może mu się to wcale nie udać.

Myśliwy nie staje bark w bark ze swoją ofiarą i ma nad nią morderczą przewagę. Proszę wyobrazić sobie człowieka ubranego w grube buty, z karabinem na plecach i w charakterystycznym kapeluszu na głowie, a obok wilka, kocio czujnego rysia, orla, lamparta, jaguara. To wielka różnica.

Polowanie, o którym do tej pory rozmawiamy, to jest polowanie wirtualne, podobne do gry komputerowej. Jesteś na ambonie, coś widzisz przez okienko, rozpoznajesz, składasz się, strzelasz i to „coś” znika. Idziesz za dwadzieścia minut na miejsce strzału i to „coś” leży – kawałek dalej lub w tym miejscu, gdzie dosięgła je kula. Ale to już jest tylko: ciało. Wcześniej nie idziesz, bo według niepisanej etyki myśliwskiej – trzeba dać zwierzęciu umrzeć. Moim zdaniem, rzeczywistym powodem jest to, żeby samemu nie widzieć śmierci. Bo to jest okropne i przejmujące do szpiku kości zdarzenie, kiedy ogląda się umieranie i śmierć. Tym bardziej wtedy, gdy się ją samemu zadało.

Podobnie rzecz ma się z rzeźniami: nie mamy pojęcia, jak przebiega proces zabijania zwierząt, których odpowiednio sprecyzowane ciała stają się zasadniczą częścią ludzkiego posiłku.

Paul McCartney mówił, że gdyby rzeźnie miały szyby, wszyscy bylibyśmy wegetarianami. Sama ich architektura budzi niepokój: budowane są jak ściśle tajne ośrodki wojskowe, coś na wzór bunkra, do którego wnętrza przechodzi się przez specjalne śluzę. Widziałem kiedyś rzeźnię. W rogu ogrodzenia postawionego przed bramą, za którą je zabijano, leżała jedna na drugiej świnie – były ciasno wtulone w siebie. Ta sterta żywych ciał oddychała. Później owe świnie wpędzano pojedynczo w kanał i do głowy każdej przykładano elektrody. Tak porażoną prądem podwieszano za nogi i przecinano tętnicę, żeby przez pracę serca wypompować z niej krew. Wtedy dopiero mięso staje się jadalne, oczywiście po wcześniejszym wypatroszeniu. Kury natomiast podwieszają się do góry za nóżki w ten sposób, że jadą prosto na gilotynę. Jeśli zdąży się ona uchylić, to obetnie jej tylko dziób lub kawałek głowy. W takim stanie wkłada się ją do wrzącej wody.

Kilkuletni Albert Camus był świadkiem, jak jego babka zabija kurę. Do tego zdarzenia powrócił w 1958 roku esejem „Przeciwko gilotynie”, który przyczynił się do zniesienia we Francji kary śmierci.

U mnie moment olśnienia przyszedł w czasie jednego z polowań. Wtedy zabiłem psa goniącego sarnę. Widziałem lot kuli, jak wychodzi z lufy, przecina powietrze, przechodzi przez skórę, wylatuje z drugiej strony jego ciała. Całym sobą czułem konanie tego psa. Wtedy wiedziałem, że kończę z dotychczasowym życiem.

To znaczy, że inni myśliwi nie widzą tego, co robią?

Tajemnica percepcji. Używamy rozmaitych „zasłon dymnych”, aby ukryć, umniejszyć, zmienić znaczenie tego, co naprawdę

→ ZENON KRUCZYŃSKI urodził się w 1950 roku w Gdańsku, mieszka w Gdyni. Syn myśliwego – przez dwadzieścia lat podtrzymywał tę rodzinną tradycję. Przeszedł do lat dojrzałym. Obecnie zajmuje się prowadzeniem, wraz z pracownią psychologiczną Makami Nature, warsztatów rozwoju osobistego „Energia w działaniu” i autorskich warsztatów „Wgląd w relację pomiędzy ludźmi a zwierzętami”. Jest współpracownikiem Instytutu Psychoimmunologii w Warszawie. Publicysta prasy alternatywnej. Rzecznik ekologii głębokiej, czynnie zaangażowany w działania na rzecz środowiska naturalnego. Autor niedawno wydanej przez słowo/obraz terytoria książki „Farba znaczy krew”.

robimy. Istnieje przecież cały słownik myśliwego. „Farba” znaczy krew, „zestrzał” to jelita, krew, kawałek wątroby czy kawałek kości na trawie po stronie, którą wyleciała kula, „położyć w ogniu” – zabić pierwszym strzałem, „trafić na komorę” – strzelić w serce lub okolice, „dostał na miękkie”, czyli zwierzę zostało trafione w brzuch, „zwierz doszedł”, czyli umarł. Myśliwym, zgodnie z prawem łowieckim, nie wolno zabijać przy paśnikach, czyli w miejscach stałego dokarmiania. W związku z tym inne miejsca stałego dokarmiania zostały nazwane „nęćskami” i tam wolno zabijać.

W zabijaniu chodzi o poczucie władzy?

W zabijaniu chodzi o chciwość doznań, prestiż i władzę: „mogę zabierać życie”. Czyż to nie boska władza? Ludzie pod tym względem są niebawale pomysłowi. W imię nienawiści urządzają rzeźnię pomiędzy Tutsi i Hutu w Rwandzie albo krematoria w Auschwitzu. Uczucie nieodłącznie towarzyszące polowaniu wiąże się bezpośrednio z aktem zabijania. Krótkie i intensywne poczucie ogarniającego całe ciało spokoju, gdy celnie strzelisz i zwierzę zwala się w ogniu strzału. Jeśli zabijesz, jesteś Panem Wszechmocnym. Jeśli darujesz życie, to też czujesz się Panem, tym razem Wielkodusznym. Zawsze wygrywasz.

Zabijanie zwierząt i ludzi to jedna i ta sama sprawa?

Śmierć wygląda tak samo u wszystkich istot: przestaje bić serce, jeżeli jest rana, to przestaje płynąć krew, ciało nieruchomieje, gasną oczy i „uchodzi życie”, jak mówimy, tak naprawdę nie wiedząc, co to takiego „uchodzi”. Ludzie w całej historii swojego trwania posługują się takim samym słowem: „zabić”, mając na myśli każdą żywą istotę, i można przypuszczać, że intuicyjnie, czyli prawdziwie, nie mieli potrzeby stworzenia oddzielnych określeń dla zabijania ludzi i innych istot. Na swoje potrzeby stworzyli obraźliwe słowo „zdechł” – klasyczną zasłonę dymną.

Zwierzę ma duszę?

Zwierzęta czują lęk, radość, cierpienie, mają wyraźną osobowość i psychikę. Tęsknią, cieszą się, są smutne lub wesołe. Mają piękne, lśniące oczy. Boją się bólu. Nie chcą umierać, lecz za swoje dzieci mogłyby oddać życie, stając czasami do heroicznych pojedynków. Jeżeli żyją w grupach, mają je fantastycznie zorganizowane. Wiele zwierząt tworzy monogamiczne pary przez całe życie.

W swojej książce pt. „Farba znaczy krew” zamieścił Pan rozmowę z weterynarą Bożeną Montwiłł, która mówi, że uspianie zwierząt odbiera im prawo do spokojnej śmierci. Rzeczywiście nie istnieją sytuacje, kiedy eutanazja okazuje się najlepszym rozwiązaniem?

Modlimy się: „od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie”. Nagła śmierć jest nieszczęściem, niby dobrze to wiemy, ale jednak zadajemy ją ludziom i zwierzętom. Robimy tak, ponieważ nie jesteśmy w stanie znieść swojego osobistego cierpienia, które odczuwamy w związku z cierpieniem i śmiercią bliskiej istoty. Wydaje się nam, że lepiej „to” skrócić, i wpadamy w koszmarną pułapkę, szukamy łatwiejszego dla nas rozwiązania w sytuacji, w której istnieją tylko trudne, wymagające rozwiązania. Wśród umierających zwierząt nie widać zachowań wskazujących na to, że chcą one przyspieszyć swoje odejście. Te umierające naturalnie są pogodzone i ufnie poddane sytuacji, te, które dobijamy zastrzykiem czy kulą, są przerażone, nawet ledwo żywe próbują uciekać. Jestem przekonany, że podobnie dzieje się z ludźmi. Oni też chcą odejść zgodnie z rytmem słabnącego życia. Znajoma prowadząca laboratorium diagnostyczne zauważyła niesłychane zjawisko. Otóż na dwie, trzy godziny przed śmiercią następuje kompletna homeostaza organizmu, wszystkie wskaźniki zdrowia są w idealnej normie. Można się domyślać, że człowiek, który przestaje bronić się przed śmiercią, doświadcza stanu jakiejś błogiej równowagi.

Człowiek z miasta bardziej humanitarnie traktuje zwierzę. Na wsi ma ono w pierwszej kolejności pomagać ludziom w codziennym życiu. Kotka tępi myszy. Gdy zajdzie w ciążę i urodzi sześć małych, to pięć z nich topi się w pobliskim potoku. Ta reszta jest zbędna.



Jan Lebenstein,
ilustracja do „Folwarku zwierzęcego”
George’a Orwella (1974 r.)

Czytałem kiedyś opowiadanie, w którym okoliczni ludzie, nie chcąc zabijać miotów swoich kotów, podrzucali je nocą za parkan buddyjskiego klasztoru. To mnisi w nocy topili te koty.

Chyba nie da się przeżyć bez zabijania. Z powodu mojego życia ginie życie innych istot. Wystarczy spojrzeć na przednią szybę samochodu – ileż tam jest zabitych stworzeń. Nie zamykam na to oczu, staram się to widzieć i pojąć. Parę dni temu jadąc samochodem, zabiłem ptaszka na jezdni – we wstecznym lusterku widziałem dwa piórka unoszące się nad asfaltem. Nie zatrzymałem się, by zdjąć jego ciało z szosy i odnieść pod drzewo. Przestraszyłem się tej śmierci. Myślę o tym lęku z niepokojem. Żał mi tego ptaszka, był taki malutki, szary, widziałem jego oko. Żał mi też siebie. Nie trzeba zabijać z programową premedytacją, trzeba starać się ochraniać wszelkie życie.

Za wyjątkiem buddyzmu, w największych religiach świata istnieje milczące przyzwolenie na zabijanie zwierząt.

W „Farbie...” chciałem zamieścić rozmowę z pewnym katolickim biskupem na temat zabijania dzikich zwierząt. Kiedy wstępnie rozmawialiśmy, podparł głowę i powiedział, że nigdy wcześniej nad tym się nie zastanawiał. Sądzę, że judeochrześcijański

antropocentryzm jest wyłącznie konsekwencją skrajnie wygodnickiej w tej sprawie interpretacji Biblii. Dlaczego Bóg, zamiast do harmonii i jedności z całym światem, miałby nas skłaniać do krwawej dominacji nad nim? Skąd czerpiemy pewność co do naszej wyjątkowej pozycji we wszechświecie? Jeżeli jest wyjątkowa – to ciężar naszej odpowiedzialności za losy Ziemi i wszelkiego na niej istnienia także jest wyjątkowy!

Myśliwi mają swojego patrona – świętego Huberta.

Mają też swojego polującego kapelana – księdza Ryszarda Pruckowskiego z Bydgoszczy. Księża także polują. A ze św. Hubertem wiąże się jeden z najbardziej piramidalnych absurdów, z jakimi zetknąłem się w życiu. Hubert mieszkał w VII wieku na terenie dzisiejszej Francji w okolicy Liège. Pochodził z arystokratycznej rodziny, podobno prowadził hulawczy tryb życia. Legenda mówi, że w czasie jednego z polowań zobaczył Horna – jelenia z krzyżem świecącym między rogami. Tyle oficjalna legenda – sądzą, że tak naprawdę zobaczył zadawaną przez siebie śmierć.

Gdy się to pojmie – zabijanie przestaje być możliwe. Poświęcił się życiu duchowemu.

Zabicie psa

→ Gdy miał 47 lat, został biskupem chrześcijańskim. Przypuszczam, że w tamtych czasach znacząco to zupełnie coś innego niż dzisiaj; musiało się skupić wokół niego wielu głęboko religijnych, poszukujących ludzi. Zapewne miał ogromną siłę przekazu. Oświecony święty. Myśliwi cieszą się: „Święty Hubert zdarzył”, jeżeli zakatrupią z karabinu jakieś zwierzę. Mówią też, że został świętym, ponieważ przestał zaciekle polować i biesiadować, i że zamiast tego zaczął polować i biesiadować umiarkowanie, czyli stał się grzeczny, i tak został świętym. Jeżeli lubił się śmiać – a myślę, że tak – to ubawiłby się do łez.



Czy myślistwo jest nałogiem?

Niespełna dwadzieścia lat temu przepracowałem swoje uzależnienie alkoholowe. Wszystkie nałogi mają podobny obraz mechanizmów psychologicznych. Jestem przekonany, że myśliwski sposób życia często może być uzależnieniem, ze wszystkimi tego konsekwencjami społecznymi i osobistymi. Swego czasu wydawało mi się, że życie bez polowania nie będzie miało żadnego znaczenia. Kiedy powiedziałem mojej nastoletniej córce, że już nigdy nie wezmę do ręki broni, ona zapytała zaniepokojona: „tato, to co ty będziesz robił?”. Moje dziecko nie wiedziało, jak może wyglądać inne życie ojca. Dokładnie to robi każdy nałóg: wymiata z codzienności wszystko inne, dlatego trudno się od niego uwolnić.

Stopień trudności wychodzenia z nałogu myślistwa i z alkoholizmu jest porównywalny?

Na nałogi stymulowane przez środki chemiczne nie ma społecznego przyzwolenia. Nałogowe używanie alkoholu czy narkotyków szybko przynosi namacalne skutki: degradację

społeczną, ciała, rozpad rodziny, przemoc, wielkie cierpienie. To rodzi oburzenie i sprzeciw – uzależniony ma szansę się otrząsnąć i spróbować odwrócić bieg zdarzeń. Ale myślistwo nie jest postrzegane społecznie jako coś szkodliwego. Dlatego nie ma w nim potencjału do zmiany.

Jakie cierpienie, oprócz zabijania zwierząt, niesie myślistwo?

Samotność bliskich – żon i dzieci. Całe rodzinne życie podporządkowane jest polowaniom – wakacje na pewno nie są planowane w sezonie łowieckim. Jak już wspólnie gdzieś się jedzie, to najchętniej w miejsce, gdzie myśliwy będzie mógł wejść w swoją ukochaną rolę. Poza tym kluczowy jest tu czas: często znika on z domu na ponad czterdzieści weekendów w roku. A między tymi weekendami, w wolnych chwilach zajmuje się sprawami polowania. W poniedziałek i przez resztę tygodnia przyrządza i zjada to, co upolował. We wtorek zaczyna przygotowywać się do kolejnego wyjazdu: czyści broń, umawia się z kolegami, sprawdza sprzęt, pakuje się. W piątek jedzie do lasu.

Czyli myślistwo jest ucieczką od prawdziwego życia.

Jak każdy nałóg. Kiedy patrzę wstecz na moje pierwsze małżeństwo, widzę bezradność w tworzeniu bliskości w rodzinie i w ogóle z ludźmi. Nie miałem pojęcia, o co w tym chodziło. Mgliście tęskniłem do czegoś, ale nie wiedziałam, jak wygląda to, do czego tęsknię. Czaiły się we mnie demony, dręczył brak satysfakcji z jałowego życia. Nie dopuszczałem do głosu tego, co we mnie trudne. Strzelać, zabijać, pić – to łatwe. Kochać dziecko – znacznie trudniejsze. Męskość nie polega na sprawnym zabijaniu – męskość to chronienie życia. Sądzę, że znany mi od dzieciństwa sposób życia zdecydował o utrzymaniu w uśpieniu umiejętności tworzenia bliskich, ciepłych związków. Przecież zawsze mogłem wyjechać na polowanie. Sam!

Z tego, co Pan mówi, wynika, że myślistwo jest przejawem słabego charakteru.

Słabość czy siła – te pojęcia tutaj kompletnie nie pasują. Myśliwi rekrutują się z rozmaitych środowisk. Prowadziłem warsztaty rozwoju osobistego dla mężczyzn, którzy około pięćdziesiątki podjęli ryzyko zawodowego przekwalifikowania się. Już w pierwszych minutach spotkania jakoś okazywało się, że kilku z nich to myśliwi – na tym opierali swoją zasadniczą tożsamość. Każdy robi to z innego powodu, inaczej poluje – trudno o generalne wnioski. Chociaż szczerze mówiąc, wolę krwawego myśliwskiego zakapiora na okrągło siedzącego w lesie, strzelającego ile się da, niż takiego myśliwego, który od czasu do czasu troszeczkę sobie pozabija: „Panie kolego, ja rogaczyka raz na rok”, „Na zbiorowe polowanie chętnie, bo to zawsze z kolegami...”. Myśliwych „z doskoku” jest chyba najwięcej. Oni nie mają nawet szansy na przemianę, bo nie wiedzą, jak to jest zaangażować się w coś bez reszty, co to pot, krew, wysiłek. Nierzadko ktoś inny im patroszy tego „rogaczyka”.

Kluczowa jest tu postać Pańskiego ojca, z którym zaczął Pan chodzić na polowania.

Ojciec polował, odkąd pamiętam. Jako chłopiec bardzo chciałem być towarzyszem jego wypraw. Marudziłem, aż w końcu uległ, gdy miałem 8 lat. Ale na początku to był dla niego kłopot, trzeba było się mną zajmować, nakarmić, odpowiednio ubrać, położyć spać, nauczyć zachowań w lesie. A ja potrzebowałem jego uznania, pochwały, podziwu, czulego gestu. Myślę, że to moje oczekiwanie było dla niego okropnie męczące. Kochałem go. Od ojca i od innych mężczyzn z „myśliwskiej braci” w życiu dostałem to, co dostałem.

Ma Pan żal do ojca?

Nie. Ojciec miał życie, które go zapewne czasami przerastało, tak jak i mnie, i w ogóle ludzi. Żył jak umiał. ◆

ROZMAWIAŁA KATARZYNA KUBISIOWSKA

Qulturalia

MUZYKA

MIĘDZY OKŁADKAMI

WWW

STRONY

FOTOGRAFIA

WYSTAWY

KONCERTY

KSIĄŻKI

TEATR

FILM

MUZYKA

Zenon Kruczyński
FARBA ZNACZY KREW
słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2008

IP
Przegląd **POLECA!**



O niepolowaniu

Wielu uważa, że polowanie to barbarzyństwo. Nie trzeba już przecież zabijać dzikiego zwierzęcia, by zaspokoić głód. Inni dowodzą, że myśliwi są potrzebni, bo regulują liczebność zwierząt, dokarmiają je. A nawet że kochają przyrodę. Autor, sam wieloletni myśliwy, pokazuje, jak przewrotne są te „koronne argumenty”, jak bardzo przypominają usprawiedliwienia... alkoholika. Polowanie to nawet nie atawizm, to nałóg, z powodu którego również cierpi rodzina – widać to w rozmowie z psycholożką i terapeutką Anną Dodziuk i z żonami myśliwych. Rozmowy te, również z Wojciechem Eichelbergerem czy sensei Sunyą Kjolhede opiekującą się wspólnotami zen w USA i Polsce, a także wspomnienia i przemyślenia autora składają się na niezwykłą książkę.

Doris Lessing

SZCZELINA

Tłum. Anna Dobrzańska-Gadowska
Świat Książki, Warszawa 2008



Na początku były kobiety

Szczeliny mieszkały w jaskiniach na wybrzeżu. Nie potrzebowały imion, nie знаły ognia. Nie znały też i nie potrzebowały mężczyzn. Rodziły kolejne Szczeliny, nie zadając sobie pytania, dlaczego tak się dzieje. Jednak nagle, nie wiadomo dlaczego, zaczęły rodzić też inne, zdeformowane dzieci – Potwory. Tak powstał mężczyźni, młodszy, gorzej przystosowany do życia gatunek, który z czasem wypaczył legendę o swoich narodzinach. Najnowsza powieść ubiegłorocznej noblistki – o konfliktach płci i niełatwym układaniu sobie wspólnego życia.

Aldona Rogulska, Adam Klonowski
OSKARZYŁAM KSIĘDZA. HISTORIA EWY ORŁOWSKIEJ
Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2008



Walka o godność

Wstęp należy sobie darować – westchnienia nad pięknem Beskidów dwójki literackich debiutantów, którzy spisali tę relację, rażą na tle prostych, ale dobitnych słów bohaterki. Dzięki determinacji Ewy Orłowskiej, dla wielu bardzo niewygodnej, udało się doprowadzić do skazania księdza z beskidzkiej Tylawy, przez lata molestującego dziewczynki. Walkę z losem, który nie oszczędzał jej niczego, Ewa Orłowska wygrała. To nie tylko opis życiowych tragedii, ale i drogi do odzyskania godności.

Jędrzej Polak
ŻYCIE JEST GEJEM
Wydawnictwo Replika, Zakrzewo 2008



Jak to jest u redemptosarmatów

Prześmiewcze? Tak. Skandalizujące? Jak dla kogo. W sumie męczące, choć momentami rzeczywiście komiczne. Objawienia Toruńskie, rządzone przez Kurię Polska redemptosarmacka Ojca i Teścia Smardzyka – skojarzenia od razu wędrują w jednym kierunku. Tu nawet katolicyzm jest herezją, a z ciążą obnoszą się mężczyźni. Satyra na zaściankową religijność – w wykonaniu znanego tłumacza Jędrzeja Polaka.

Kate Brian
IMPREZA ZAMKNIĘTA
Tłum. Anna Skucińska
Wydawnictwo Znak, Kraków 2008



Suspens dla nastolatków

Z bohaterką powieści „Tylko dla wybranych” rozstaliśmy się w momencie, gdy najwyraźniej dopięła swego – została dopuszczona do szkolnej elity. Ale czy było o co walczyć? W dodatku okazuje się, że nawet ta elita ma jeszcze bardziej ekskluzywne grono. No i jeszcze zaginionego chłopaka Reed zaczyna szukać policja. Robi się coraz ciekawiej...

Aleksandra Pańko